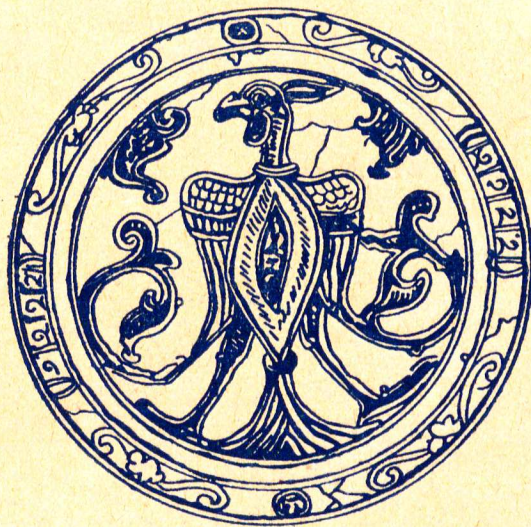


POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

Kwartalnik



Nr 1(21)

WARSZAWA

1957

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

SPIS TREŚCI

ARTYKULY

- Stanisława Piaskowicka-Rymkiewicz, *Życie i twórczość Fuzulego* 3
 Józef Bielański, *Miniatura irańska* 13

*

- Ananiasz Zajączkowski, *V Turecki Kongres Historyczny* 27
 Jan Reychman, *W ośrodkach orientalnych i orientalistycznych Bułgarii* 37

*

- Franciszek Machalski, *Z poezji ludowej Libanu* 55

UTWORY LITERACKIE

- Siedem howet* (przełożył z egipskiego Tadeusz Andrzejewski) 61
Sutta-nipāta 4: Rolnik Bhāradwāja (przełożył z sanskrytu St. F. Michalski) 67
 Məxit'ar Goš, *Bajki* (przełożył z ormiańskiego Kazimierz Roszko) 71
Opowieść o człowieku który nauczył się mowy zwierząt (przełożył z suaheli Roman Stopa) 75
 Pa Kin, *Pies* (przełożył z chińskiego Mieczysław Künstler) 77

Z PRACOWNI RĘKOPISÓW ORIENTALNYCH

- Blandyna Kokot, *Papirus Bytomski* 83

RECENZJE

Z KSIĄŻEK:

- Ananiasz Zajączkowski, *Dzieje piśmiennictwa Iranu* 89

*

- Pañcatantra czyli mądrości Indii Ksiąg Pięcioro* (E. Słuszkiewicz) 95
Zagadnienia nauki historycznej. Zeszyt poświęcony historii Chin. (W. Jabłoński) 101
 Jerzy Słiziński, *Legends i baśnie wietnamskie* (A. Dębnicki) 105
 Eugène Guernier, *La Berbérie* (E. Szymański) 106

*

- Franciszek Kupfer, Stefan Strelcyn, *W odpowiedzi na recenzję B. Marka z pracy „Mickiewicz w przekładach hebrajskich”* 109

- Z CZASOPISM 110
 NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE 111

SIEDEM HOWET

„Początek przypowieści dla wielkiego rozweselenia serca” — tymi słowy rozpoczyna się seria utworów poetyckich zapisanych na *verso* papirusu *Chester Beatty* 1, opublikowanego przez Gardinera w r. 1931.

Papirus ten, obustronnie zapisany, stanowiący drugą, znaną nam starożytną antologię literatury egipskiej¹, zawiera na *recto* opowiadanie mitologiczne *Horus i Set* (kol. 1,1 - 16,8), po którym następuje *Początek słodkich zdań, znalezionych w zbiorze pism, które sporządził pisarz nekropoli Necht-Sobek* (kol. 16,9 - 17,18). Bezpośrednio po nim mamy, ale już na *verso*, dwie kolumny z bardzo zatartym tekstem hymnu do Amona i trzecią z hymnem na cześć Ramzesa V, datowaną na 2 rok jego panowania² i wreszcie 5 kolumn z tekstem *Siedmiu howet*, po których następują drobne notatki gospodarcze i dalsze liryki miłosne.

W ten sposób mamy na samym początku tekstów poetyckich wymienione imię pisarza *Necht-Sobeka*, który może uchodzić za autora jeśli nie ich wszystkich, to co najmniej utworów znajdujących się na *recto*³.

Dwie sprawy dotyczące się tłumaczonych wierszy wymagają we wstępie wyjaśnienia. Pierwsza jest kwestią terminologiczną: słowo *howet*⁴, dosłownie „zamek”, określające termin z dziedziny poetyki egipskiej spotykamy już w *Księdze Piramid* na oznaczenie „rozdziału”, tj. samodzielnego fragmentu tego wielkiego zbioru utworów religijnych poetyckich i prozaicznych. Spotykamy je również w *Nauce Amen-em-opeta*, z początku Epoki Późnej, gdzie jest użyte dla wyodrębnienia poszczególnych zespołów wskazówek dydaktycznych. Gardiner⁵ przekłada *howet* przez *stanza* na podstawie dalekich analogii między obu terminami. W naszym tłumaczeniu pozostawiono nazwę *howet* z uwagi na niemożliwość dokładnego przekładu na język polski.

Sprawa druga to kilka słów wyjaśnienia, kim była bogini Złota. Imię to stanowi przydomek bogini *Hat-Hor* jako patronki radości i opiekunki kochanków.

Pewne inne wyjaśnienia odnośnie formy i treści znajdują się w przypisach.

T.A.

(1)

ḥwt

Jedyna, siostra niezrównana,
i spośród wszystkich najpiękniejsza.
Ona jest jak wschodząca gwiazda,
która szczęśliwy rok zaczyna.

¹ Pierwszą stanowi pap. *Harris 500*. Niektóre z utworów poetyckich zawartych na tym papirusie zostały zamieszczone w P.O. 3(11),1954 i 4(12),1954.

² Tj. około 1160 r. p.n.e.

³ S. Schott, *Altägyptische Liebeslieder*, Zürich 1950, 226 sq.

⁴ Gardiner, *Eg. Gr. II*, o6 zwraca uwagę na możliwość przejścia *w* w *y* w słowie *ḥwt*. Wokalizacja tego wyrazu, która stanowi punkt wyjścia dla transkrypcji polskiej została oparta na greckim i koptyjskim zapisie *ḥwt* w imieniu własnym *Nbt-ḥwt* jako Νεφθω ΝΕΘΩ, ΝΕΦΩ.

⁵ A.H. Gardiner, *The Library of A. Chester Beatty*, London 1931.



Olśniewająca, jasnoskóra,
ma śliczne oczy, gdy popatrzy,
ma słodkie usta, gdy przemówi:
nie wypowiada słów zbytanych.

Kark ma wyniosły, jasne piersi,
lapis-lazuli — to jej włosy,
ramiona — złoto przewyższają,
a palce jej są jak lotosy.

Jędrne pośladki, zwięzłe łono,
nogi — jej piękność odślaniają;
ma tyle wdzięku kiedy stąpa —
serce zabrała mi uściskiem.

Sprawia, że szyje wszystkich mężczyzn
na widok jej się obracają;
szczęśliwy kogo uścisnęła:
czuje się pierwszym wśród młodzieńców.
A na jej wyjście z domu patrzą
jak na procesję Tej — Jedynej.

(4)

𓂏𓂛𓂏𓂛𓂏𓂛𓂏𓂛𓂏𓂛𓂏𓂛

Gwałtownie bije serce moje,
gdy tylko wspomnę twoją miłość.
Nie daje mi po ludzku chodzić,
wciąż tłucze się na swoim miejscu.

Nie daje mi koszuli włożyć,
nie przyodziałam się narzutką,
nie uczerniłam sobie oczu,
nie namaściłam pachnidłami.

„Nie stój, osiągniesz, czego pragniesz” —
mówi mi serce, gdy go wspomnę,
nie czyni mnie, serce me, szaloną:
dlaczego działasz nierozumnie?

Spokojne zostań, aż brat przyjdzie,
uspokój także ludzkie oczy,

nie dopuść, by mówiono o mnie:
„Dziewczyna, którą miłość miota”.

Zachowaj spokój, gdy go wspomnisz.
O serce, nie bij tak gwałtownie.



(7)

ḥm̄ ḥm̄ ḥm̄ ḥm̄ ḥm̄ ḥm̄ ḥm̄

Dni siedem siostry nie widziałem,
aż mnie choroba przeniknęła:
stałem się jakiś ociężały
i już sam siebie nie poznaję.

Jeśli lekarze przyjdą do mnie,
serca lekami nie ucieszą;
nie mają środków czarodzieje:
choroba jest nierozpoznana.

Kto powie: „Ona!”, ten mnie wskrzesi,
tylko jej imię mnie podniesie.

Przyjście i wyjście jej wysłańców
oto, co wskrzesi serce moje.

Lepsza jest siostra niż lekarstwa,
ona jest dla mnie ponad wszystko,
w jej przyjściu — moje ocalenie,
kiedy ją ujrzę — będę zdrowy.

Otworzy oko — odmłodnięę,
przemówi do mnie — sił nabiorę,
uścisknę — ona zło oddali
i aż po siedmiu dniach odejdzie.

Przekład egipskiego wiersza nastrocza trudności przede wszystkim z uwagi na to, że nie są w nim zaznaczone samogłoski. Badania nad rytmiką egipską w oparciu o utwory zawarte w pap. *Harris 500*, na czerepie z Giza i w pewnym, choć mniejszym stopniu także na jednym z papirusów turyńskich z tak zwanymi pieśniami ogrodowymi, zostały zapoczątkowane przez Wilhelma Maxa Müllera⁶. Metoda jego polegała na odtwarzaniu wokalizmu w oparciu o język koptyjski.

Stan egiptologii u schyłku ubiegłego stulecia, kiedy to właśnie Müller ogłosił swoją *Liebespoesie*, nie był na tyle zadawalający, by umożliwić dokładniejsze zorientowanie się w problemach rytmiki i wersyfikacji. Badania nad językiem nowoegipskim — liryka miłosna dochowała się niemal wyłącznie na zabytkach doby Nowego Państwa — a przede wszystkim studia Ermana w zakresie poezji koptyjskiej⁷ w części uściśliły, w innej obaliły dość apodyktycznie podane przez Müllera sądy o rytmice wiersza egipskiego⁸. Wiele kwestii pozostało jednak niejasnych, wiele nie rozwiązanych.

Przyczyna tego leżała niewątpliwie w nie dość dokładnym zapisie utworów poetyckich, szczególnie na pap. *Harris 500*, a oprócz tego papirus turyński, skąd — moim zdaniem — najłatwiej było wyprowadzić wnioski uogólniające, został potraktowany po macoszemu przez Müllera, który — jak pisał — nie zdołał otrzymać fotografii tego zabytku.

Jeśli chodzi o obecny stan badań nad zasadami budowy wiersza egipskiego, to trzeba przyznać, że jest on niezadawalający: tłumacze, którzy po Müllerze podejmowali prace przekładowe, okazywali wielką wstrzemięźliwość w wypowiedzaniu sądów na ten temat. Gilbert, Lexa, a ostatnio Schott nie mówią właściwie niczego nowego o rytmice egipskiej, choć właśnie wiersze pap. *Chester Beatty 1* (nawiasem mówiąc, wydawca jego — Gardiner również z właściwą mu ostrożnością wypowiada się na ten temat) zdają się potwierdzać przypuszczenia, które nasuwają się przy lekturze przede wszystkim pap. turyńskiego i pewnych partii pap. *Harris 500*, a które mówią o wyrazistości rytmu.

⁶ W.M. Müller, *Die Liebespoesie der alten Ägypter*, Leipzig 1899, 10 sqq.

⁷ A. Erman, *Bruchstücke koptischer Volksliteratur*, Abh. Preuss. Ak. Wiss., Berlin 1897, Abh. I, 44—52.

⁸ M. Pieper, *Die ägyptische Literatur*, Potsdam-Wildpark 1927, 16.

Nie pretendując do przesądzenia sprawy, autor przekładu polskiego pragnąłby dorzucić tu jedno swoje spostrzeżenie. Tłumaczone tu teksty zostały zwokalizowane w oparciu o koptyjski, z uwzględnieniem przypuszczalnej wymowy nowoegipskiej, zaświadczonej w tekstach akadyjskich i hetyckich. Wówczas okazało się, że poszczególne linijki wiersza, zaznaczone czerwonymi punktami w oryginale, zawierają siedem zgłosek. Są oczywiście takie czy inne odchylenia, nie wszędzie udało się odtworzyć wokalizm, niemniej jednak hipoteza o wyrazistym rytmie zdaje się zyskiwać potwierdzenie.

Zbadania wymaga problem akcentu w wierszu, postawiony jeszcze przez Müllera, który upatrywał jego rozwiązanie w jedności naturalnego akcentu prozy i wiersza. Poezje pap. *Chester Beatty* nie zdają się przeczyć jego twierdzeniu.

Oddanie przypuszczalnego siedmiozłoskowca egipskiego przez siedmiozłoskowiec polski nie byłoby chyba najlepszym wyjściem z sytuacji, przede wszystkim ze względu na to, że wyrazy egipskie (ściślej nowoegipskie) są w dużej, jeśli nie przeważającej części dwuzłoskowe (co nie znaczy dwuspółzłoskowe), a ponadto z uwagi na specyfikę składni. W tym stanie rzeczy tłumacz posłużył się dziewięciozłoskowcem⁹.

Wszystkie *howet* zawierają nieprzetłumaczalne gry słów polegające na zestawieniu liczebników w tytułach (tytuły pisane są czerwonym tuszem) z pierwszym i ostatnim wyrazem poszczególnych utworów. Mamy więc kolejno:

- w'.ti(?)* — „jedyna”; *W'ti* — „Jedyna” (w pierwszej *howet* brak tytułu);
mḥ-sn(t) — „druga”, *sn* — „brat”, *sn* — „bracie!”;
mḥ-ḥmt — „trzecia”, *ḥmt* — „zamyślać”, *im(y)-ḥt.f* — „należąca do jego świty”;
mḥ-fdw(t) — „czwarta”, *ifd* — „rusza się gwałtownie”, *ifd(y)* — „(nie) ruszaj się gwałtownie”;
mḥ-sis(t) — „szosta”, *sw'.n.i* — „przechodzę”, *sw'* „przemijanie”;
mḥ-sfḥ(t) — „siódma”, *sfḥ* — „siedem”, *sfḥ* — „siedem”.

Na zakończenie kilka drobniejszych spraw dotyczących poszczególnych *howet*.

Howet 1. Przekład „związła łono” (*mr.t(i) ḥr-ib* — dosł. „związła łonem”) niepewny. „Ta — Jedyna” — scil. bogini Złota.

Howet 3. Początek utworu (dwie linijki) został pominięty w tłumaczeniu. Brzmi on: „Serce me miało zamiar widzieć jej piękność, skoro zasiadłem w jej (!?) wnętrzu”. Żadna dotychczasowa interpretacja nie jest zadawalająca. *Mehe* — pieszczotliwe imię, określające kochanka.

Howet 7. „Czarodzieje” — wolny przekład terminu *ḥr(y)-ḥb(t)*, oznaczającego kapłana zajmującego się m. in. lekturą ksiąg czarodziejskich.

Przełożył z egipskiego
Tadeusz Andrzejewski

⁹ W. Jabłoński, *Zagadnienia przekładów z języków orientalnych, O sztuce tłumaczenia*, Wrocław 1955, 72 sqq.

SUTTA-NIPATA 4

Sutta-nipāta („Dział przemówień”) należy do II „kosza” Kanonu palijskiego — *Sutta-pitaka*, który dzieli się na 4 duże zbiory (*nikāje*) i jeden zbiór krótszych tekstów (*khuddakanikāja*). Piątą księgą w tym zbiorze jest *Sutta-nipāta*, składająca się z 70 utworów poetyckich. Opowieść o rolniku Bhāradwādży jest czwartym z kolei utworem tej Księgi. — Przekładu dokonano z wydania Chalmesa 1932 (HOS 37).

S.M.

Tak oto słyszałem. Pewnego razu Wzniosły przebywał w kraju Magadha na górze Południowej, we wsi bramińskiej Ekanālā. W tym czasie bramin rolnik Bhāradwādża był posiadaczem pięciu setek pługów, gotowych do uprawy roli pod siew. Wtedy to Wzniosły, przyodziany w płaszcz mnicha, z miską w ręku, udał się wczesnym rankiem tam, gdzie pracował bramin rolnik Bhāradwādża. A w tym właśnie czasie u bramina Bhāradwādży była pora posiłku. Wzniosły podszedł tam, gdzie się posilano a podszedłszy stanął na uboczu. Bramin rolnik Bhāradwādża ujrzał Wzniosłego, stojącego na uboczu w oczekiwaniu jałmużny, a ujrawszy Wzniosłego tak powiedział:

— Ja oto, mnichu, orzę i sieję, a po orce i siewie spożywam. Ty zaś też, mnichu, orz i siej, a po orce i siewie spożywaj.

— Ja też przecież, braminie, i orzę i sieję, a po orce i siewie spożywam.

— A jednak my nie widzimy, by czcigodny Gotama miał jarzmo, czy pług, lemiesz, czy woły, czy kij na woły.

A wtedy tak znów odpowiedział Wzniosły Gotama:

— A przecież, braminie, ja też orzę i sieję a po orce i siewie spożywam.

A wtedy bramin rolnik Bhāradwādża odpowiedział Wzniosłemu taką strofą:

Mniemasz się być oraczem, lecz nie widzimy orki u ciebie,

Powiedz nam o swym oraniu, byśmy wiedzieli, jak orzesz.

(Wzniosły):

Wiara jest ziarnem mym siewnym, a deszczem moim asceza.

Wiedza mym jarzmem i pługiem, grządzielą moją jest skromność,

duch mój powozem — pamięć lemieszem jest i kijem.

Pilnując ciała, strzegąc mowy,

gardząc obfitym pożywieniem,

prawdziwy zbieram plon orania:

przez ujarzmienie — wyzwolenie.

Męstwo jest moim jucznym wołem,

który oddania spokój wiezie,

i dąży naprzód, by nie wrócić,

bo tam, gdzie biegnie, nie ma troski.
 Oto jest rola przeorana,
 nieumieranie jest jej plonem.
 Ten, kto się odda takiej orce,
 od wszelkich cierpień będzie wolny.

Wtedy bramin rolnik Bhāradwādza, podając ryż z mlekiem w wielkim naczyniu z brązu, pochylał się przed Wzniosłym mówiąc:

— Niechaj Wzniosły Gotama spożyje ten ryż z mlekiem: Wzniosły jest oraczem, gdyż uprawia rolę orką, której plonem jest nieumieranie. (Wzniosły):

Strofy, com wyrzekł, nie są do zapłaty,
 nie dla widzących jest taka jałmużna.
 Zbudzeni gardzą zapłatą za słowa,
 — kto Prawu wierzy, tak ma postępować.

Odbieźcę, wieszczą potężnego,
 który skłonności swe pokonał
 i wszelkie zło ujarzmił w sobie,
 innym pokarmem i napojem
 uczcić winienes, Bhāradwādzo,
 jeśli chcesz zebrać plon zasługi.

— A więc komu mam dać, czcigodny Gotamo, ten ryż i mleko?

— Nie widzę, zaiste, braminie nikogo ani w świecie bogów, ani w świecie Māry, wśród odbieźców i braminów, pośród ludzi i bóstw — nikogo, kto by mógł przetrwać ten pokarm, poza Doskonałym lub uczniem Doskonałego. Dlatego też, braminie, wyrzuć mleko i ryż na pustkowie bez trawy lub wylej do wody, w której mało jest stworzeń żyjących.

Wtedy bramin rolnik Bhāradwādza wylał ryż z mlekiem do wody, w której mało było istot żyjących. Pokarm zaś rzucony do wody począł syczeć, bulgotać, dymić, parować. Było to istotnie tak, jak gdyby palony w słońcu lemiesz i rzucony do wody syczał, bulgotał, dymił, parował — tak właśnie ten ryż z mlekiem, rzucony do wody, syczał bulgotał, dymił, parował.

Wtedy bramin rolnik Bhāradwādza, wstrząśnięty do głębi, ze zjeżonymi na głowie ze wzruszenia włosami zwrócił się do Wzniosłego i przystąpiwszy doń przypadł głową do jego stóp i rzekł:

— Wspaniale, czcigodny Gotamo, wspaniale! Jest tak, czcigodny Gotamo, jakby to, co się przewróciło, podniesiono do góry, to, co było ukryte, wydobyto na jaw, jakby zbląkanemu ukazano drogę albo jakby podczas ciemności przyniesiono lampę oliwną, by oczy mogły rozpoznać przedmioty, — tak właśnie przez czcigodnego Gotamę różnymi sposobami ukazane zostało prawo (Dhamma). I oto ja uciekam się do Wzniosłego Gotamy, do Prawa, do Zakonu. Obym mógł stać się wędrowcem u boku czcigodnego Gotamy i być wyświęconym na mnicha! —

I istotnie bramin rolnik Bhāradwādza stał się wędrowcem u boku Wzniosłego i otrzymał wyświęcenia na mnicha.

Niedługo po wyświęceniu dostojny Bhāradwādza, odbiegłszy od świata, wędrując samotny, gorliwy, stanowczy, płonący — osiągnął to, do czego dążąc, synowie rodu wyruszają na zawsze z domu rodzinnego w bezdomność, to jest najwyższy cel religijnego życia w widzialnym bycie — cel, który sam rozpoznał i uświadomił sobie: „zniszczone nowe narodziny, życie oddane religii przeżyte; to co było do spełnienia, spełnione. I już nic nie zostało do uczynienia na tym świecie” — tak rozpoznał. I w następstwie dostojny Bhāradwādza stał się *arahantem* (tj. dojrzałym do nirwany).

przełożył z palijskiego
St. F. Michalski

MƏXIT'AR GOŠ

Məxit'ar Goš rodem z Armenii żył w latach 1140—1213. Był autorem *Statutu ormiańskiego* (*Livre des Tribunaux*) oraz zbioru bajek. W jego bajkach spotykamy się najczęściej z tematyką z życia zwierząt, roślin i ludzi. Zbiór bajek liczy 190 pozycji.

K. R.

GWIAZDY

Pewnego razu zebrały się gwiazdy, a największe spośród nich rzekły: „Jest nas wiele; dlaczego nie możemy oświetlać dnia, jak słońce i nocy, jak księżyc?”

Jedna powiedziała: „Dlatego, że nie świecimy razem”.

Postanowiły więc najpierw prześladować słońce, by uciekło. A gdy zaświecił księżyc, zwyciężone przez niego rzekły: „Jeśli w porównaniu z księżycem tak mało świeciliśmy, co będzie z nami, gdy zajaśnieje słońce?” Żal ogarnął gwiazdy i uznały swoją przegraną.

Przypowieść poucza, że wielu jest tak samo słabych, którzy nie mogą zwyciężyć mocnego; znaczenie jej jest również takie, że słaby może próbować i żałować, i że również godny jest wtedy przebaczenia.

ZIEMIA

Ziemia, popatrzawszy na wysokość gór, zapragnęła być niebem: nie miała jednak właściwości świetlnych nieba, by móc oświetlać.

Przykład ten gani niektórych światowych ludzi, którzy dumni ze swych bogactw, chcą mieć honor kapłanów, lecz więcej światła przyjmują niż dają, podobnie jak ziemia, która jest oświetlana, a nie oświetla.

PALMA DAKTYŁOWA

Drzewa zebrały się na naradę, by wybrać to, które będzie nad nimi królować. Jedne mówiły — że palma daktyłowa, bo jest wysoka i ma słodkie owoce; inne — że winna latorośl; a ta sprzeciwiła się i rzekła: „Jestem wesola, mnie więc należy się królowanie nad wami”; figa zaś rzekła: „Jestem słodka w jedzeniu”. Tarnina: „Jestem klująca. Kto jest przeciwko mnie?”

Każdy siebie zachwalał i nad drugich wynosił.

Palma daktyłowa zaś rozmyślała, że nie zgodzą się, by królowała nad nimi, ale uważając, że inni nie mogą się pysznić sobą, rzekła, że jej należy się królowa-

nie nad innymi. Na to wszyscy oświadczyli: „Wysoka jesteś i masz słodkie owoce, lecz dwóch ci rzeczy brakuje: nie rodzisz co roku owoców i nie dajesz drzewa na budulec. Najgorsze zaś jest to, że dzięki twojej wysokości owoce twoje są dla wielu niedostępne”.

Ona zaś odpowiedziała: „I tak będę królowała, was ustanawiając księżętami, i po moich latach i waszych dzieciach nadal będę królowała”. Ustanowiła taki porządek królowania: winna latorośl będzie szafarką, figa posłem, tarnina zaś katem, drzewo granatowe lekarzem, inne drzewa przeznaczyła do podtrzymywania owoców, lasy na budowę, bory na spalenie, krzaki na więzienie. Inne będą pomagały w różnych pracach.

Przypowieść poucza, że nikt nie może wzbogacić się bez chwały i wywyżżyć się bez pogardzenia. Trzeba mieć na uwadze, że przygotowane dary mają na celu spełnienie nadziei w czasie późniejszym.

Przełożył z ormiańskiego
Kazimierz Roszko

OPOWIEŚĆ O CZŁOWIEKU, KTÓRY NAUCZYŁ SIĘ MOWY ZWIERZĄT

Wśród plemion Bantu, zamieszkujących olbrzymie obszary południowej Afryki, szczególną rolę odgrywają Suaheli a to dlatego, że ich język stał się czymś w rodzaju *lingua franca* dla dużej polaci wschodniej Afryki. Mówi się nim i pisze — obok języka ojczystego — na obszarze rozciągającym się od zachodniego Konga na wschód poza Krainą Wielkich Jezior aż do oceanu, a nawet na północno-zachodnim wybrzeżu Madagaskaru. Za kolebkę tego plemienia uchodzi powszechnie archipelag Lamu, ale obecnie jego terytorium rozciąga się na długim pasie wybrzeża — od Równika do około 16° szer. płd., włączając weń Zanzibar i Pemba. Język ich ma być najbardziej spokrewnionym z językiem plemienia Giryama w Kenii na północ od Mombasy. Przyjął on jednak wiele wyrazów z języka arabskiego, poza tym nie brak w nim zapożyczeń z języków chamickich, zwłaszcza Somali i Galla, a wreszcie z języków europejskich, zwłaszcza portugalskiego i niemieckiego. Wpływy tych ostatnich były wynikiem ekspansji kolonialnej państw europejskich, szczególnie silnie zaznaczającej się tu pod koniec XIX wieku. Kolonialnemu uciskowi Niemców próbowali przeciwstawić się zarówno krajowcy Suaheli jak i Arabowie, którzy na równi z Hindusami osiedlali się tu już od X wieku n. e., szczególnie na wysepkach i w miastach portowych; trudnili się oni głównie handlem, nie wyłączając handlu niewolnikami. Ich powstanie w r. 1889 zostało przez Niemców krwawo stłumione. Ci z kolei w wyniku I wojny światowej zmuszeni byli opuścić kolonię, tzw. *Deutsch-Ostafrika*. Ich miejsce zajęli głównie Anglicy, którzy tu założyli kolonię Tanganika, początkowo jako terytorium mandatowe z ramienia Ligi Narodów, obecnie jako kolonię Zjednoczonego Królestwa. Obszar Ruanda i Urundi przypadł na rzecz Belgijskiego Konga.

Wpływ Arabów zaznacza się w mieszanym typie antropologicznym oraz w kulturze i języku. Słownictwo *Suaheli* uległo arabizacji do tego stopnia, że około 27% wyrazów wywodzi się ze źródłosłów arabskich. W nieznacznym stopniu wpływ arabszczyzny osiągnął system fonetyczny (*suaheli* przejął od Arabów dwa dźwięki *ğ* i *ħ*), natomiast gramatyka pozostała w całej pełni bantuska, tak np. system klas, aspekty czasownika pozostały nienaruszone. Sama nazwa plemienia *Wa-Suaheli* jest pochodzenia arabskiego i znaczy „lud wybrzeża”.

Chcąc zaznajomić publiczność polską z oryginalną twórczością krajowców Afryki, podajemy poniżej przekład jednej z bajek *Suaheli* ze zbioru C. Veltena, jakże żywo przypominającej nasze rodzime chłopskie „gadki” i „przypowiastki”. Ten sam wątek bajkowy znajdujemy również w *Bajkach z tysiąca i jednej nocy*.

R. S.

Był raz człowiek, który nauczył się mowy wszystkich zwierząt. Rozumiał on dobrze, co każde zwierzę mówiło. Człowiek ten miał osła i wołu. Osioł nie miał zbyt wiele do roboty; gdy nadarzyła się podróż — woził swego pana na grzbiecie. Wół zaś przez cały dzień orał pole, a gdy wieczorem wracał do domu, był tak zmęczony, że nie mógł żuć ani prosa, ani trawy — tak ciężka była robota wołu.

Pewnej nocy wół powiedział do osła:

— Ty to sobie żyjesz w niezmaconym spokoju.

Na to osioł rzekł do wołu:

— Jesteś głupi. Choroba twoja pochodzi stąd, że sam chcesz być chory. Przecież nie można powiedzieć ludziom: „Pracujcie wolniej!”

Wół zapytał:

— Wolniej niż co? Chcę, żebyś mi wyjaśnił swą myśl!

Na to osioł:

— Jeżeli chcesz mieć taki spokój jak ja, to jutro, kiedy przyjdzie pastuch, żeby cię wyprowadzić na pole, nie wychodź, a jeżeli zaczną cię bić — śpij i nie wstawaj.

Tymczasem pan słyszał tę rozmowę osła i uśmieł się z niej bardzo.

Gdy rankiem pastuch przyszedł, by wyprowadzić wołu na pole do orki, wół nie chciał wyjść. A kiedy pastuch zaczął go bić — wół padł na ziemię i nie wstawał.

Wtedy pastuch poszedł do pana i powiedział:

— Panie, dzisiaj wół nie chce iść do orki.

Na to pan odpowiedział:

— Zostaw go dzisiaj, niech sobie odpocznie.

I pastuch zostawił wołu.

Nocą osioł i wół rozmawiali znowu. Osioł powiedział:

— Widzisz, jaki jestem mądry!

A wół na to:

— No, no, doprawdy!

I wół przez trzy doby pozostał w stajni. Czwartego dnia pan powiedział pastuchowi:

— Jutro wyprowadź wołu, niech idzie orać!

W nocy osioł rzekł do wołu:

— Kiedy przyjdzie pasterz, to znowu nie wychodź.

A pan znowu słyszał słowa osła. I gdy rano pasterz przyszedł do stajni, by wyprowadzić wołu, ten znowu nie chciał wstać. Wtedy pan rozkazał:

— Jeżeli wół jest chory, wyprowadź osła, niech on wykona tę robotę.

Gdy osioł usłyszał słowa pana, posmutniał bardzo. A pan jeszcze dodał:

— Trzymaj osła tak długo, aż wykona całą robotę, bo pole nie było orane przez trzy dni.

No i pasterz zabrał osła. Od samego rana, ledwo tylko słońce wstało, aż do zachodu słońca osioł nie odpoczywał ani razu.

Gdy osioł wrócił do stajni, był tak zmęczony, że nie mógł żuć ani trawy, ani prosa. Na to wół go zapytał:

— No, jak w polu?

Osioł odparł:

— Dużo roboty.

W ten sposób przepracował trzy dni i wychudł bardzo.

Czwartej nocy osioł przemówił do wołu:

— Przyjacielu mój, ja kocham cię bardzo i powtórzę ci każde słowo z sekretu, który powiedział nasz pan. Wczoraj słyszałem, jak pan nasz mówił: „Wół zrobił się strasznie leniwy, codziennie choruje. Jutro zaprowadzę go do roboty, a jeżeli nie będzie mógł pracować, to go zarznę i ze skóry uszyję buty, żeby ludzie mieli w czym chodzić”. Słowa te powtarzam tylko tobie, bo to jest sekret.

A pan słucha rozmowy osła i wołu i śmieje się bardzo. Wół zaś odpowiedział:

— Dziękuję ci przyjacielu mój, jutro pójdę i będę pracował, bo przecież miłe mi jest jeszcze moje życie.

Rano pan zawołał pasterza i zapytał go:

— Kogo weźmiemy do orki, wołu czy osła?

Pasterz odpowiedział:

— Wół podobno jeszcze choruje.

Na to pan powiedział:

— No to go spytaj, czy pójdzie do roboty.

Wół odrzekł:

— Pójdę.

Osiół więc pozostał w stajni, a pan śmiał się bardzo. Na to żona go spytała:

— Z czego się śmiejesz?

Pan odpowiedział:

— Śmieję się z tego, czego nie mogę powiedzieć ani tobie, ani innemu człowiekowi.

Na to żona odrzekła:

— To ty mnie już nie kochasz!

Przyczyna odmowy leżała w tym, że nauczyciel, który nauczył pana mowy zwierząt, postawił mu taki warunek:

— Ja cię nauczę mowy zwierząt, ale jeżeli przyjdzie jakiś człowiek i będzie ci dawał nagrodę, żebyś mu powtórzył słowa, które usłyszałeś od zwierzęcia — nie mów. Jeżeli powiesz — umrzesz.

Na to pan odpowiedział:

— Dobrze.

I dotrzymał testamentu nauczyciela.

W domu były codziennie kłótnie, gdyż żona chciała wiedzieć, z czego śmieje się jej mąż. Wreszcie mąż rzekł do niej:

— Przygotuj mi wody w kotle, gdyż chcę się wykąpać, włożyć piękne szaty i potem pomodlić się. A wszystko dlatego, że chcę ci powiedzieć to, z czego się śmiałem. Potem przestanę być twoim mężem, gdyż umrę.

Żona przygotowała wszystko, tak jak powiedział mąż. Po skończeniu modlitwy mąż rzekł do żony:

— Teraz pójdę się pożegnać ze starszankami rodzicami, kiedy wrócę, to ci powiem.

W pewnym miejscu podczas drogi spotkał koguta, w stadzie którego było pięćdziesiąt kur. Kogut kręcił się wśród tych pięćdziesięciu kur, pieścił je i wszystkie były uradowane. A kogut śmiał się wesoło.

Był tam także pies, który smucił się bardzo. Pies ten zapytał koguta:

— Czy ty nie masz żadnego przecucia?

Kogut odpowiedział:

— Z jakiego powodu?

Na to pies powiedział:

— Pan nasz dzisiaj umrze, a ty się śmiejesz z kurami. Ty nawet nie pomyślisz o naszym panu.

Kogut zapytał:

— Z powodu czego ma umrzeć nasz pan? Przecież widziałem go dzisiaj zdrowego.

A pies powiedział:

— Przyczyną jego śmierci będą słowa, których pragnie się od niego dowiedzieć żona. Gdy on je powie — umrze.

Na to kogut zawołał:

— Pan nasz jest całkiem głupi!

Pies zapytał:

— Dlaczego?

Kogut powiedział:

— On nie umie postępować z kobietą. Ja mam pięćdziesiąt kobiet i wszystkie raduję, a on ma tylko jedną i nie umie jej uradować? Jeżeli nie słucha ona swego męża, to niech on pójdzie na targ, kupi ładną laskę i wygrzmoci mocno swą żonę. Wtedy odechce się jej tych słów.

Tymczasem pan, który słuchał rozmowy psa i koguta, powiedział do siebie:

— Doprawdy, te zwierzęta mają rację. Poszedł więc na targ, kupił lagę i wrócił do domu. Potem zawołał swoją kobietę do izby, zamknął drzwi, tłuł ją laską, ile tylko wlażło. Wtedy żona zawołała:

— Za co mnie bijesz?

— Biję cię za słowa, które chciałaś wiedzieć — odparł mąż — a jeżeli chcesz, to dam ci jeszcze więcej.

Na to żona odpowiedziała:

— Wystarczy, już odpokutowałam, teraz już nie chcę znać tych słów.

Potem żyli oni ze sobą w spokoju i zgodzie.

Przełożył ze suaheli
Roman Stopa

PIES

Pa Kin (ur. 1905) jest jednym z najbardziej popularnych nowelistów i powieściopisarzy w Chinach. Działalność literacką rozpoczął jako dwudziestoletni młodzieniec, wydając opowieść noszącą tytuł *Zagląda*. Wkrótce potem ukazał się pierwszy tom opowiadań *Odwet*, a także powieść *Dom rodzinny*, stanowiąca pierwszą część trylogii *Wartki nurt*. W r. 1931 opublikował następny tom opowiadań *Sława*, z którego pochodzi niniejsze opowiadanie.

Ten okres twórczości Pa Kina cechuje pesymizm, wywołany krytycznym i obiektywnym spojrzeniem autora na smutną rzeczywistość chińską. Zainteresowanie Pa Kina skupia się na młodzieży, jej życiu i działalności rewolucyjnej, a także emancypacyjnej. Taka też jest główna tematyka jego wielu innych utworów, z których wymienimy tylko najbardziej znane, jak powieści: *Sen morza*, *Nowe życie*, trylogia *Miłość* (*Mgła*, *Deszcz*, *Błyskawica*), *Śnieg* oraz dalsze części trylogii *Wartki nurt* (*Wiosna* i *Jesień*) oraz zbiory opowiadań: *Fotel elektryczny*, *Topiel*, *General*, *Opowieści o włosach* oraz wydane po wojnie — *Mali ludzie i małe sprawy*.

Czytelnika polskiego zainteresuje pewnie to, że Pa Kin był w Polsce jako delegat Chin na Warszawski Kongres Pokoju i po powrocie do kraju opublikował *Pamiętnik Warszawski*.

T. L-T.

I

Nie znam mojego nazwiska i imienia, nie wiem, ile mam lat. Żyję na świecie samotny, jak kamień porzucony przy drodze. Nie wiem, kto jest moim ojcem, kto moją matką. Jestem tylko zagubionym przedmiotem. Mam żółtą skórę, czarne włosy, czarne oczy, spłaszczony nos i jestem niski. Jestem jednym z miliona i los chce, abym żył wśród ludzi.

Każdy człowiek ma swoje dzieciństwo. Ja też miałem dzieciństwo. Ale moje dzieciństwo nie było podobne do dzieciństwa innych ludzi. Nie znałem ciepła, nie znałem sytości, nie wiedziałem co to pieszczota. Poznałem tylko głód i zimno.

Pewnego dnia — dokładnej daty już sobie nie przypominam — po prostu pewnego dnia stanął przede mną szczupły, wysoki starszy pan o pomarszczonej twarzy.

— W twoim wieku powinieneś już chodzić do szkoły i uczyć się. Nauka to przecież najważniejsza rzecz w życiu człowieka.

Twarz jego spoważniała jeszcze bardziej, jego głos był bardzo łagodny.

Dlatego poszedłem, zapomniałem o głodzie, zapomniałem o zimnie. Szukałem wszędzie — widziałem wspaniałe budynki, widziałem również proste izby — mówiono mi, że są to szkoły. Podnosiłem głowę i wchodziłem pamiętając, że nauka to najważniejsza rzecz w życiu człowieka.

— Precz! tu nie ma miejsca dla ciebie!

Zawsze słyszałem te jednakowo brzmiące słowa, czy to było w majestatycznym budynku, czy w prostej izbie, czy w wejściu spotykałem złą czy dobrą twarz. Słowa te smagały mnie jak bat. Czułem ból na całym ciele. Odchodziłem z opuszczoną głową. Z wnętrza gonił mnie śmiech dzieci i długo jeszcze dźwięczał mi w uszach. Po raz pierwszy zacząłem powątpiewać w to, czy jestem człowiekiem.

Wątpliwości moje powiększały się z każdym dniem. Chciałem nie myśleć o tym, ale w uszach dźwięczało mi często pytanie: — Czy ty uważasz się za człowieka?

W rozwalonej świątyni stał posąg boga. Myślałem tak: Bóg jest wszechwiedzący i wszechmocny. — Nisza, w której stał posąg bóstwa, nie miała zasłony i surowa twarz boga była całkiem odsłonięta. Wprawdzie pozłota posągu już dawno odpadła, a nawet jedna ręka była odłamana, jednak bóg zawsze był bogiem. Podbiegłem więc przed roztrzaskany stół ofiarny i modliłem się: Boże, proszę cię, powiedz mi, czy ja jestem człowiekiem?

Usta boga były wiecznie zamknięte i nawet we śnie nie chciał mi nic powiedzieć. Ale ja sam rozstrzygnąłem wreszcie ten problem. Powiedziałem sobie: Jakże mogę uważać się za człowieka? Czyż nie obrażam przez to zbyt imienia boga? — Dlatego też zrozumiałem, że nie jestem człowiekiem.

Doszedłem do wniosku, że życie moje jest dziwnie logiczne: proszę o ostatki zupy i resztki ryżu tak, jak pies prosi o kości. I w ogóle nie jestem człowiekiem, jestem tylko czymś w rodzaju psa.

Pewnego dnia pomyślałem sobie znów: — Skoro jestem tylko zwierzęciem, powinienem móc się sprzedać; i postanowiłem sprzedać siebie. Przypiąłem sobie do pleców pęczek słomy¹ i poszedłem przez gwarne i przez zaciszne ulice miasta. Szedłem powoli, z podniesioną głową, aby wystawić się ludziom na pokaz, byle tylko znaleźć kupca. Nie stawiałem żadnej ceny, chciałem tylko, aby ktoś mnie zatrzymał sobie, dawał mi trochę kości do gryzienia, a ja będę mu służył wiernie, jak pies.

Ale od wschodu do zachodu słońca nie spotkałem człowieka, który by mnie zagadnął. Wszędzie tylko twarze wykrzywione w brutalnym uśmiechu. Tylko parę dzieci podbiegło, aby zabawić się pęczkiem słomy, który miałem na plecach.

Osiąłem, byłem znów głodny, ale musiałem wrócić do mojej rozwalonej świątyni. Przy drodze znalazłem zakurzony kawałek chleba i chociaż był twardy i czarny, pożarłem go. Byłem bardzo zadowolony z tego, że pomiędzy moim żołądkiem a żołądkiem psa prawie że nie ma różnicy.

W rozwalonej świątyni było zupełnie cicho. Rozmyślałem więc tak: Nawet jako zwierzę nie mogę się sprzedać. Nie tylko nie jestem człowiekiem, ale co więcej — jestem nikomu niepotrzebnym zwierzęciem. Zacząłem płakać, a że łzy ludzkie są bezsprzecznie cenne, więc łzy takiego nikomu niepotrzebnego zwierzęcia, jak ja, nie są warte napewno ani jednego *wên*².

¹ W Chinach bydło prowadzonemu na sprzedaż przypina się pęczki słomy.

² W *ên* — jednostka monetarna równa $1/30$ — $1/40$ *fên*.

Przyczołgałem się pod stół ofiarny i załkałem. Pomyślałem sobie: — Dość płaczu. Teraz mam łyzy, ale mam tylko łyzy. — Płakałem więc nie tylko w rozwalonej świątyni, ale także biegąłem płakać pod drzwi domów, gdzie mieszkali ludzie bogaci.

Leżałem w kącie pod drzwiami dużego domu mieszkalnego; było mi zimno, byłem głodny; płakałem, gdyż mogłem zjadać moje łyzy, wsłuchiwałem się w swój płacz, aby nie słyszeć, jak wołał głód w moim brzuchu.

Wyszedł jakiś młody, smukły człowiek, ubrany w nowy europejski garnitur — nie spojrzał nawet na mnie; wszedł jakiś człowiek w średnim wieku, ubrany w lśniącą nową szatę — i też nie spojrzał na mnie; przechodziło wielu ludzi, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi, zupełnie tak, jakby mnie tam nie było.

Wreszcie wyszedł wysoki mężczyzna. Zauważywszy mnie zatrzymał się przede mną i zaczął krzyczeć:

— Precz! to nie jest miejsce na twoje płacze!

Jego dźwięczny głos brzmiał prawie jak grom i aż mnie ogłuszył. Kopał mnie jak psa. Przestałem płakać, złapałem się oboma rękami za głowę i uciekłem. Nie powiedziałem ani słowa, bo nie miałem nic do powiedzenia.

Wróciłem do rozwalonej świątyni i położyłem się bezsilnie. Leżąc skomlałem, jak pobity pies. Bóstwo patrzyło na mnie surowo.

W oczach nie miałem łez. Poczolołem się przed stół ofiarny i pełen wzruszenia modliłem się klęcząc: Chociaż nie jestem człowiekiem, ale skoro już jest postanowione, że mam żyć na tym świecie, niech tak będzie. Od urodzenia nie miałem rodziców, nie miałem bliskich, jak zagubiony przedmiot. Proszę ciebie sprawiedliwy Boże, bądź moim ojcem, ponieważ nie jestem człowiekiem wśród ludzi i nie mogę znaleźć niczyjego współczucia.

Usta boga były wiecznie zamknięte. Ani słowem nie wyraził on swego sprzeciwu.

Tak więc mam już ojca — boga, tego sprawiedliwego boga z odłamaną ręką.

II

Chociaż jak dotąd wychodziłem codziennie prosić ludzi o resztki, ale teraz skoro tylko zdobyłem trochę jedzenia, żeby poskromić głód, wracałem. Bowiem teraz byłem taki jak inni ludzie — miałem w domu ojca. I chociaż moim domem była rozwalona świątynia, a ojcem moim bóg, którego usta były wiecznie zamknięte i który nigdy nie powiedział mi nic pocieszającego, ale tylko on jeden na świecie nie opuścił mnie. Był on jedynym moim krewnym.

Mimo że było mi zimno i byłem głodny, dnie mijały bardzo szybko, a z każdym dniem wzrastałem.

Powoli rodziło się we mnie coś dziwnego.

Rozumiałem, że nie jestem człowiekiem i często tym stwierdzeniem wrywałem się z marzeń, ale ludzkie pragnienia zaczęły stopniowo wzrastać we mnie.

Pragnąłem, jak inni ludzie, mieć dobre wyżywienie, duży dom, nowe szaty i ciepłe łóżko.

— To są ludzkie pragnienia. Ty nie jesteś człowiekiem. Jakże więc możesz to osiągnąć? — W ten sposób wyrwałem siebie z marzeń pewnego dnia, spostrzegłszy, że jakoś dziwnie myślę.

Ale niezależnie od tego ludzkie pragnienia i tak zaczęły wzrastać w moim ciele. Wprawdzie rozumiałem, że jest to rzecz niebezpieczna, nie miałem jednak sposobu, aby to powstrzymać.

Oczy moje nęciły niesłychanie różnorakie towary z wystaw domów handlowych w alejach. Ale to, co wprawiało mnie w szczególne wzruszenie, to pewna para nóg chodzących tam często po trotuarze. Para różowych nóg, nóg koloru cielistego. Jakże szczupłe, jakże delikatne, jakże pełne — naprawdę nie mogłbym znaleźć piękniejszych. Były jakby wyrzeźbione z jednej bryły rubinu. Ta para nóg szła czasem trotuarem, nie, nie szła, ale lekko tańczyła. Często nogi te stawały przede mną i przesłaniały mi wszystko, jakby to były dwa wielkie cylindry. Czasami były one w rikszy na środku ulicy; założone jedna na drugą, wyciągnięte spoczywały w rikszy, jakby czekały aż ktoś przyjdzie je pogłaskać.

Niejednokrotnie wyciągałem rękę z daleka i chciałem pójść i pogłaskać je, lecz gdy zbliżały się one do mnie, jedna myśl zaprzętała mój umysł: — Uważaj, ty nie jesteś człowiekiem! — I śmiałość moja zniknęła.

Pewnego dnia zobaczyłem, jak obok tych nóg leżał mały bielusienki piesek. Piesek ten tulił pyszczek do nóg, a nawet starał się wdrapać na kolana. Pomyślałem: — A więc nie tylko ludziom wolno. Pieskowi też wolno. — Gdy tak myślałem, czułem nagły przypływ odwagi. Pobiegłem w kierunku ukochanych nóg. Gdy już podbiegłem do nich, nie wiem, skąd pojawiła się jakaś ręka, chwyciła mnie i rzuciła na ziemię.

— Ślepyś, czy co?! — usłyszałem tylko te dwa słowa, poczułem, że kręci mi się w głowie i mózg mi pęcznieje, a przed oczyma tańczy mi mnóstwo złotych gwiazdek. Zemdlny padłem na ziemię.

Kiedy się podniosłem, ujrzałem wokół roześmiane twarze, nóg tych nie było już widać. Dziwny śmiech ludzi sprawiał mi ból. Zatkąłem uszy i uciekłem.

Opadła mi opaska z oczu. Przejrzałem. Zrozumiałem, jasno, że od tyłu lat zarozumiałe uważałem się za psa lub za coś podobnego do psa. Teraz wiem, że nie jestem jeszcze godny być psem.

Z ciężkim sercem wróciłem do rozwalonej świątyni i usiadłem pod stołem ofiarnym. Milcząc rozważałem, rozmyślałem. Zdawało mi się, że widzę tego małego pieska, jak serdecznie przytula się do nóg; że widzę, jak mieszka w dużym domu, ma dobre jedzenie, ciepły worek do spania i serdeczną pieśczętę. Zazdrość, jak żmija kąsała moje serce. Toteż zacząłem czołgać się po ziemi, chodziłem na rękach i nogach, machałem głową, kołysałem siedzeniem, szczeakałem. Myślałem: Czyż nie jestem podobny do psa!

Szczekałem i czulem, że głos mój był prawie taki, jak głos psa. Myślałem, że teraz mogę już uważać się za psa. Byłem zadowolony, było mi lekko na duszy. Wiele chodziłem na czworakach.

Ale wreszcie chciało mi się wyprostować nogi, a i na rękach też nie byłem w stanie chodzić po ziemi i rozczarowanie zachmurzyło moje serce. Nie mam nawet szczęścia stać się psem. Położyłem się na ziemi i załkałem beznadziejnie.

Powstrzymałem łzy i klęcząc przed stołem ofiarnym modliłem się:

— Boże, Boże który jesteś moim ojcem, proszę cię spraw, abym zamienił się w psa. Niech stanę się taki, jak ten mały, biały piesek.

Usta boga były zamknięte.

Codziennie chodziłem na czworakach, szcekałem, ale nie miałem szczęścia stać się psem.

III

Jestem niski, mam żółtą skórę, czarne włosy, czarne oczy i splaszczony nos. Ale na świecie są też ludzie wysocy, którzy mają białą skórę, włosy blond, niebieskie oczy i duże nosy.

Chodzili oni ulicą, pojedynczo, po dwóch, po trzech, z dumnie podniesioną głową rozglądali się wokół, śpiewali, krzyczeli, śmiali się tak, jakby na ulicy było tylko ich troje. Pozostali przechodnie z lękiem przechodzili obok nich albo z daleka ich omijali.

Zrobiłem nowe odkrycie. Tak zwani „ludzie” także dzielą się na pewne rodzaje. Istnieje jeden rodzaj jeszcze większych ludzi niż ci, których zwykle widywałem na ulicy.

Nosili oni czapki z białego płótna, spodnie białe z niebieskim paskiem; szeroki wykładany kołnierż odsłaniał ich owłosione piersi. Chodzili zwykle po dwóch, trzech, czterech i odkąd zrobiłem to odkrycie, przyglądałem się często na ulicy tym wielkim ludziom.

Wiecznie się śmiali, śpiewali, krzyczeli i albo bili ludzi butelkami po wódce, albo szczypali w twarz przechodzące kobiety. Czasami widziałem nawet, jak siedzieli w rikszy, a na kolanach siedziała im moja ukochana para różowych nóg. Z ust ich wydobywały się słowa, których nie rozumiałem.

Ludzie z szacunkiem ustępowali im z drogi. I ja nie miałem odwagi zbliżyć się do nich, gdyż byli oni zbyt wielcy.

Z daleka przyglądałem się im i po kryjomu czciłem ich. Błogosławiłem ich. Z radości uspakajał się mój głód. Byłem tak szczęśliwy, że na świecie są tacy wielcy ludzie, że aż zapomniałem o własnym cierpieniu.

Czciłem ich po kryjomu i błogosławiłem ich. Często mówiłem sobie z szacunkiem: Nie zbliżaj się do nich, abyś nie odniósł się do nich zbyt lekceważąco. — Ale pewnego razu znalazłem się wreszcie koło nich.

Pewnego dnia pod wieczór nie mogłem iść z głodu i znużenia. Usiadłem przy drodze pod ścianą i głaskałem zabrudzone krwią i błotem nogi. Z głodu burczało

mi w brzuchu, przed oczyma krążyły mi czarne punkciki i nie widziałem wyraźnie wszystkiego wokół. Nie zauważyłem, jak nadeszli ci wielcy ludzie. Kiedy ich wreszcie dostrzegłem i chciałem wstać i ustąpić im drogi, byli już zbyt blisko.

Szpiczasty but kopnął mnie w lewy łokieć, zupełnie tak, jakby mi ktoś nożem odciął rękę. Z bólu zacząłem tarzać się po ziemi.

— Pies! — słyszałem niezwykle wyraźnie, jak usta wielkiego człowieka wypłyły to słowo.

Złapałem się ręką za ramię i powtarzałem jedno słowo: Pies.

Wróciłem wreszcie do rozwalonej świątyni, gdzie zapomniałem o bólu. Chodziłem na czworakach po ziemi, machałem głową, kręciłem siedzeniem, szczekałem. Czułem, że jestem psem.

Zrobiło mi się lekko na duszy, śmiałem się; śmiałem się poprzez łzy. Zrozumiałem naprawdę, że jestem psem.

Wzruszony klęknąłem przed stołem ofiarnym i modliłem się:

— Boże! Boże, który jesteś moim ojcem! Nie wiem, jak powinienem dziękować ci za to, że jestem psem. Wielki człowiek, nadczłowiek, nazwał mnie psem.

IV

Znow spotkałem na ulicy tę parę różowych nóg. Szły powoli w moim kierunku, jak dwa wysmukłe cylindry.

Prawie że nie mogłem wytrzymać, aż przejdą koło mnie. Radość wypełniła moje serce, gdyż teraz byłem psem.

Gdy stuk obcasów zbliżył się szybko zwróciłem się w kierunku nóg. Podpełzłem na czworakach i objąłem parę różowych nóg, na które tak długo czekałem. Przytuliłem do nich twarz i lizałem je. W uszach brzmiały mi różne dźwięki, coś ciężkiego uciskało mnie, wiele rąk ciągnęło mnie, ale obejmowałem nogi tak mocno, że nie uwolniłaby ich nawet śmierć.

V

Kiedy znowu odzyskałem świadomość, byłem w jakimś ciemnym pomieszczeniu. Nie było słychać żadnych głosów ludzkich. Było duszno. Oddychałem szybko. Nie wiedziałem, gdzie jestem, ale na pewno nie była to psia nora. Chciałem chodzić na czworakach, chciałem szczekać, ale bolało mnie całe ciało i tak byłem związany sznurem, że nawet nie mogłem się ruszyć.

Rozmyślałem więc: W rozwalonej świątyni sprawiedliwy bóg z odłamaną ręką, bóg, który jest moim ojcem, jak dawniej opuszczony siedzi w niszy. On tam czeka na mnie. Wróć, cokolwiek by się stało, wróć do rozwalonej świątyni.

To nic, że całe ciało mnie boli — jestem wreszcie psem. Będę szczekał. Będę gryzł. Przegryzę sznury i pobiegnę do rozwalonej świątyni.

1931 r.

Z chińskiego przełożył
Mieczysław Künstler